

„W samotnej ciszy kształcą się talenty, a charaktery wśród odmetu świata”.

— Johann Wolfgang von Goethe

Kiedy zaczyna świtać, przedmioty odzyskują swoje kształty i własności. Stopniowo wyłaniają się z mroku osnuwającego pokój, chciwie chwytając prześlizgujące się po nich z każdą kolejną minutą coraz to nowsze odcienie szarości. Kontury, które do tej pory wypełniała czarna otchłań, obrysowują wystrzające się formy, powoli strzepujące z siebie okruchy marzeń sennych, aż wreszcie całkiem namacalne.

*Tonęłam w tej szarości więcej niż setki razy – słowa te nawiedziły myśli Ofelii, która, lekko odchyliwszy głowę na oparcie krzesła, z półprzymkniętymi powiekami siedziała przy biurku. Prostokąt monitora oświetlał znużoną twarz i pośród bladych cieni poranka uwydatniał podkrążone powieki. Kąciki jej ust zadrżały w mglistym uśmiechu, gdy stwierdziła, że pomyślane zdanie mogłoby stanowić początek dobrej powieści. Czyżby jednego z wielu materiałów cerowanych aksamitem bezsennych nocy, które niczym niepasująca do niczego część garderoby nigdy nie odnajdą ujścia na światło dzienne...?*

Kursor Worda migał miarowo na tle rażącej bielą elektronicznej kartki.

*Kłęb pary wzniosł się poza żółknięte klosie. Zadrżał i gdy, mglisty niby rozwartą dłoń zjawy, sięgał firmamentu, poryw wiatru roztarł go ze stłumionym świstem. Gwizd zagłuszył westchnienie, dla człowieka jednak zarówno oddech nieba, jak i jego własny pozostały nieme.*

*W jego głowie dźwięczało, a szum ten był równie szary i dławiący, co dym tabaki. Człowiek czerpał więc powietrza niespokojnymi haustami, raz po raz, nieustannie odnosząc wrażenie, że gorycz i burość chmur wpychają się przez zaciśnięte gardło do płuc.*

W większości wypadków opisywała doświadczenia bolesne – te radosne nigdy nie pobudzały natchnienia. Nie dlatego, że nie odczuwała potrzeby, żeby ocalić je przed zapomnieniem w jednym z wielu wypchanych po brzegi folderów. Po prostu wydarzenia, kiedy prawdziwie czuła się spełniona coraz częściej należały do rzadkości i stały się na tyle cenne, że starała się je chłonać całą sobą. Wpijała się w nie tak łapczywie, smakowała tak intensywnie, że później, z tak przeżutych doznań, niewiele już pozostawało do przelania na elektroniczną kartkę papieru.

*Ach, gdyby deszcz mógł uduścić ciężarem kropel, poddałby mu się całkowicie; jego włosy zmieszałyby się z błotem, oddech ze skowytom wiatru, ciało spróchniałoby wzorem zbutwiałej kory.*

*To romantyczna wizja, pomyślał, zakrztusiwszy się gorzkim śmiechem. Dalece różna od ohydneho i cuchnącego rozpadu, który czekałby nadjadane przez glizdy mięso, być może z czasem porośnięte dzikim mchem niczym warstewką pleśni.*

— Ofelia! A ty jak zwykle coś skrobiesz. Dasz kiedyś prze...?

— Nie — ucięła, nie uniósłszy głowy znad notatnika.

— Ale jak już coś wydasz to dostanę swoją książkę z autografem, co nie?

— Nie wydam.

Tym razem Ofelia zwróciła chmurne oczy ku swojej jedynej koleżance, Dianie, i spotkała się z zawiedzionym uśmiechem.

— Jak to nie? Przecież jak coś jest dobre to to wydają.

— Jeżeli twórczość jest prawdziwie dobra, jest również bardzo osobista. Po co mam dzielić się samą sobą z hołotą, która pod gęstością języka dojrzy jedynie blok nudnego tekstu?

Diana odpowiedziała po dłuższej chwili, ostrożnie dobierając przy tym słowa:

— Skąd to niby wiesz, skoro *zawsze* się od wszystkich odcinasz i nawet mnie nie dasz nic przeczytać?

Ofelia zamknęła notatnik.

*Rany w najbrutalniejszej formie. Nie prymitywne skaleczenia piekące żarem upokorzeń, nie rozkrwawione obtarcia, z pozoru jedynie poważne. Rany rozognione infekcją gorączkowo rozchodzącą się po żyłach, trawiącą je, rany utrwalane każdą niezagojoną szramą, nieodnajdujące ukojenia. Na kształt wciąż żywego, tętniącego bólem krwawego zakrzepu — rany, które, wypalane dogłębnie od samego początku, stanowią nadgniłą breję żółci i porażek.*

Choć nadmiar słów dusił ją — niewypowiedziany — od mentalnego środka, Ofelia nie znajdowała upodobania w dzieleniu się nimi z innymi ludźmi ani w formowaniu odczuć oraz emocji w sensowne, w swoim sensie nieoddające ich ulotnej abstrakcji zdania. Robiła to z czystego przymusu, wpierv szukając zajęcia podczas bezsennych nocy, później z przyzwyczajenia, aż chorobliwie uzależniła się od regularnych spowiedzi jak każdy przytłoczony ciężarem życia ćpun od działki narkotyku.

Nie dawało to całkowitego oczyszczenia, co gorsza pojawiało się wtenczas niepokojące uczucie. Jakby była za szkłem dźwiękoszczelnym, które grubym pancerzem oddzielało od zgubnej kakofonii dźwięków i drżało tylko co jakiś czas, zwiastując, że niebawem pęknie. I choć obezwładniająca cisza odbierała nieraz trzeźwość umysłu, Ofelia przytomnie trzymała się fundamentalnej myśli; wносиła wokół siebie mury porośnięte pnączami kłamstw, sama nieraz uraziwszy się ostrzejszym cierniem, kruche szkło zaś wzmacniała kolejnymi płatami tekstu uwiecznionego na elektronicznych kartkach Worda.

— *Biegnij. Zabieraj się stąd!*

*Ledwie ustał na nogach, gdy dłoń pociągnęła go ku szarości nieba, poza szorstką zasłonę żyta. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że fala wiatru rozmyje jego postać tak gładko jak poradziła sobie z ulotnym oddechem.*

*Zachwiałszy się ponownie, niemal opadł na ziemię, po czym, nie zważając na odrętwienie, pognał przed siebie poprzez kostropaty kobierzec zboża. Nierówny grunt usiany pojedynczymi kamieniami ranił mu stopy, on doceniał to jednak, ponieważ żwir wgniótł*

większość pola i tym samym ułatwiał mu pęd. Wprawdzie krew paliła obdarte stopy, wrzała w żyłach, rozniecała otwarte rany bólem, ale on nie zważał na to. Odczucia te były drugorzędne. Mógł biec szybciej, coraz szybciej. Mógł zachłystnąć się słonym powietrzem. I mógł przeżyć.

Jasne smugi blizn szpeciły przedramiona Ofelii szlakiem porażek – nie nieszczęść przyczyniających się do ich powstania, a przegranych ze sobą bitew, gdy spośród wielu wyjść wybierała to najprostsze, sięgając po żyłkę. Tej nocy, kiedy wpatrywała się w nierówne kraty, które od dawna więziły łatwy odpływ emocji, targnęło nią gwałtowne uczucie. Skuliła się, mając wrażenie, że szklana skorupa zaczyna się kruszyć.

Pomyślała o dotychczasowym życiu. Wciąż, nieustannie czuła się niespełniona, ponieważ w momencie, gdy ludzie oswoili się ze swoim towarzystwem, ona oswajała samotność. Nigdy nie chciała przyznać tego przed sobą, lecz w głębi duszy wiedziała, że tym, co określa nas samych są inni...

Czy w związku z tym jej talent, skrzętnie ukryty przed światem, miał jakiegokolwiek znaczenie?

Wówczas szkło rozprysło się na tysiące kryształowych łez.

*Gdzie podziła się dłoń, która wyrwała go z piekła majak snuty przez na wpół przytomny umysł? Myśl ta nagle omotała jego serce i niby sznurki marionetkarza szarpnęła ciałem w przeciwnym kierunku. Zwolnił, ponownie zamroczony. Czyja to była dłoń?*

Kiedy zaczyna świtać, przedmioty odzyskują swoje kształty i własności. Stopniowo wyłaniają się z mroku osnuwającego pokój, chciwie chwytając prześlizgujące się po nich z każdą kolejną minutą coraz to nowsze odcienie szarości. Kontury, które do tej pory wypełniała czarna otchłań, obrysowują wyostrające się formy, powoli strzepujące z siebie okruchy marzeń sennych, aż wreszcie całkiem namacalne.

*Tonełam w tej szarości więcej niż setki razy – słowa te nawiedziły myśli Ofelii, która, lekko odchyliwszy głowę na oparcie krzesła, z półprzymkniętymi powiekami siedziała przy biurku. Prostokąt monitora oświetlał znużoną twarz i pośród bladych cieni poranka uwydatniał podkrążone powieki. Kąciki jej ust zadrżały w mglistym uśmiechu, gdy stwierdziła, że pomyślane zdanie mogłoby stanowić początek dobrej powieści. Tak, z pewnością dobra powieść zaczyna się właśnie w taki sposób. To będzie powieść, którą pokoloruje szarość rzeczywistości, z którą zwiąże przyszłość i – co ważniejsze – którą ludzie będą chcieli czytać.*

Pierwsze słowa wypłynęły spod jej palców przy cichym akompaniamencie stukania w klawiaturę.

Aleksandra Wagner